

z życia do życia

*Nie jesteśmy, by spożywać
urok świata, ale po to
by go tworzyć i przetaczać
przez czasy jak skalę złotą.*
Konstanty Ildefons Gałczyński

kładę liść na twoich ustach: i rośnie drzewo pełne soków, z wiatrem
uwięzionym w koronie, rozśpiewanym dzieckiem

bóstwa tataraku i łożyny. kładę trawę na twoich włosach: ona wypuszcza
korzenie, zielenieje jak oczy kota. wkładam ci do ręki owoc

dzikiej róży: jesteś studnią bez dna, płodna jak wody
czerwonej rzeki, jak kłębek niebieskiej włóczki rozplątany nad naszymi

głowami. biorę nóż, wbijam go w twoje żebra, w twoje kości
drewniane, żelazne, kamienne. echo odbija głos poraniony, szpetny

jak rechot śmierci. odwracam głowę: zjeżone zwierzę strachu
przybliża się do mnie, ociera się o stopy, grzebie pazurami w żołądku.

kładę kamień na swoim brzuchu: pragnę pokuty za grzech życia. strach
jest tylko snem, mówią umarli, wchodzą do mojego domu przez nieumyte

szyby, przez wizjer pancernych drzwi.

czego się boję, dlaczego beztroska zniknęła, nawet nie zauważyłem, gdy
moje zabawki zmieniły się w narzędzia zbrodni i funkcjonalne

przybory musztry. gdzie podziały się liście, dlaczego woda
zrobiła się brązowa jak rdza, a wiatr kaleczy domy, ogłusza

ciszę rozspanej nocy?

wszystkiemu winne twoje narodziny, mówią mędrcy, wydawało ci się, że schwyciłeś
życie jak oswojonego konia, ale ono ma wiele twarzy, miliony

nóg sprawnych i umięśnionych jak u atlety. pamiętasz pierwsze chwile, pierwsze
oddechy lekkie jak zapach wanilii, jak złote włosy słońca

zawieszony w powietrzu? byłeś piękny i bezbronny, ale wkrótce wyrosły ci
zęby, dłonie nabrały siły, brzuch stał się twardy jak pień dębu. pamiętasz

swój śmiech? bały się ciebie sarny, zające drżały, ptactwo
uciekało w popłochu, skrzydła rysowały w przestrzeni prośby

o pomoc, hasła i odzewy złąknionej partyzantki. pamiętasz

matkę? pamięć jest jednak zawodna: pamiętasz tylko jej starość, nie znasz

jej beztroski, choć przelała ją w ciebie. potem były święta, wyprawy
do miast i krajów, wędrówki po łąkach, morzach i oceanach. wszedłeś

na szczyty, w dolinach odpoczywałeś, pod głowę podłożyłeś zwitek
mchu, kilka bażancich piór. tak upłynęła ci młodość. lecz czas

nie przestawał uwodzić, odkładał się na twoim ciele jak niechciana
zmarszczka. posuwałeś się po omacku, zniknęły dzikie prerie, wonne

wolnością i dzikimi okrzykami. nagle miałeś na plecach garb, siedziałeś
w klatce, patrzyli na ciebie jak na zwierzę w laboratorium.

kto to wszystko zrozumie? może ktoś napisał traktaty na kościach
zwierząt, na gałązkach krzewów, ale zapomniał nam zostawić

alfabet, zgubił znaki przestankowe i intonację? twoja dorosłość
była już wymieszana ze starością, potykałeś się o komendy dni, kaleczyłeś

o szorstkość nocy. nie traciłeś nadziei, ale ona zmatowiała
jak oczy skazańca. ktoś w twojej głowie śpiewał, słyszałeś wyraźnie,

hymn dla ziemi: kładę liść na twoich ustach: i rośnie drzewo pełne
soków, z wiatrem uwięzionym w koronie...

godło: stróż godzin